

ISSN 2084 - 0810

MŁODZI EKUMENIZM BÓG

nr 30 październik 2013

PROSTO Z MOSTU

JEZUS
CIE
VOCHA
☺



15



18



25

SPIS TREŚCI

4

POWSZECHNY CHARAKTER IKONY

6

PO MOJEJ ŚMIERCI

7

SPOWIEDŹ EWANGELIKA

10

„POWINNIŚMY PROWADZIĆ WIERNYCH
DO ŚWIĘTEJ RÓWNOWAGI”

13

CZY EWANGELICYZM TO JEST TO
SAMO CO EWANGELIKALIZM?

15

„WSZEDŁEŚ W TRUD TYCH, KTÓRZY
BYLI TU PRZED TOBĄ” - JUBILEUSZ
ABP. JEREMIASZA

18

ŚWIADECTWO

20

CO ŁĄCZY JAZDĘ
AUTOSTOPEM I BOGA?

21

NOWA KSIĄŻKA O MAMIE PAPIEŻA

23

POLSKO, KONSERWO MOJA!

25

MOIMI OCZAMI

„Ile razy łapiemy się na tym, że ciężko jest powiedzieć nam słowo Jezus” – usłyszałem niedawno w rozmowie z pewnym reżyserem. I pewnie coś w tym jest. A jak łatwo przychodzi nam dawanie dobrych rad innym, pouczanie, czy wręcz moralizowanie? Tu z kolei odwołuję się do znakomitego tekstu Szymona Hołowni o tym, jak to brakuje nam dziś świadectw, zwykłych albo niezwykłych, ale świadectw o tym, jak spotykamy Chrystusa w swoim życiu, w codzienności. Działają na nas historie, w których ktoś opowiada o tym, jak to wyszedł z nałogu czy też życiowego dna, bo spotkał Jezusa. Takie konkretne przypadki działają na naszą wyobraźnię. Ale też szybko wracamy do szarej codzienności, rutyny. Może brakuje nam autentycznego świadectwa naszej wiary? Tej codziennej, trudnej, wymagającej, ale systematycznej? Nie wiem, nie chcę moralizować. W tym numerze tematycznie dotykamy świadectwa wiary w naszym życiu. Zapraszam na ekumeniczną wycieczkę ze świadectwem w tle. Kościół nie wzrasta przez prozelityzm, lecz na mocy przyciągania, świadectwa – powiedział wszak niedawno papież Franciszek.

Piotr Kołodziejcki

Ideą gazety jest dialog międzywyznaniowy w ramach chrześcijaństwa, a ewentualne ofiary zebrane z gazety w całości (po opłaceniu druku gazety) przeznaczamy na cele charytatywne.

Redaktor naczelny

Piotr Kołodziejcki

Zastępca redaktora naczelnego

Małgorzata Moraczewska

Redakcja

Jarosław Kaczmarczyk, Paulina Bielecka,
Anna Próchniak, Adriana, Katarzyna Szylak,
ks. Marcin Sęk, Ewelina Dmitrowicz,
Olga Kwiatkowska, Ewa Smutek, Magdalena Żukowska

Korekta

Natalia Dąbrowska, www.dobrzenapisane.pl

Adres redakcji i wydawnictwa

ul. Królowej Korony Polskiej 28e
70-485 Szczecin

Kontakt z redakcją

ekumeniczni@wp.pl

konto na facebooku:

<http://www.facebook.com/ekumeniczni>

Archiwalne numery do zobaczenia na: radioszczecin.pl/religia

Okładka: Robert Żak

Opracowanie graficzne i skład

Robert Żak

robert.zak@wp.pl

Fotoedytor

Łukasz Szelemej

www.szelemej.pl

Konsultacja teologiczna

parafii katolickich:

ks. Lucjan Chronchol

prawosławnej:

ks. Paweł Stefanowski

ewangelicko-ugsburskiej:

ks. Sławomir Sikora

Wydawca

Fundacja „Szczecińska”

www.szczecinska.eu

Drukarnia

Studio Klawo! Szczecin

POWSZECHNY CHARAKTER IKONY

Tekst

o. Maciej Biskup

przeor klasztoru dominikanów
w Szczecinie

Ikona jest duchowym dobrem, które wyrosło w czasach Kościoła niepodzielonego. Na Soborze Nicejskim II (r. 787) zatwierdzono podstawowe zasady ikonografii chrześcijańskiej i jej teologię: „(...) pragniemy strzec zazdrośnie wszystkich nienaruszonych tradycji Kościoła (...). Jedną z nich jest przedstawianie wzoru za pośrednictwem obrazu, jeśli zgadza się z literą orędzia ewangelicznego i służy potwierdzeniu prawdziwego, a nie nierzeczywistego Wcielenia Słowa Bożego (...). Idąc jakby królewskim traktem za Boskim nauczaniem świętych Ojców i za Tradycją Kościoła katolickiego – wiemy przecież, że w nim przebywa Duch Święty – orzekamy z całą dokładnością, w trosce o wiarę, że przedmiotem kultu powinny być nie tylko wizerunki drogocennego i ożywiającego krzyża, ale tak samo czcigodne i święte obrazy malowane, ułożone w mozaikę lub wykonane w inny sposób, które ze czcią umieszcza się w kościołach, na sprzęcie liturgicznym, na szatach, na ścianach czy na desce, w domach czy przy drogach, z wyobrażeniami Pana naszego Jezusa Chrystusa, Boga i Zbawiciela, a także świętej Bogarodzicy, godnych czci aniołów oraz wszystkich świętych i sprawiedliwych”.

Ikona należy więc do całego Kościoła Powszechnego, a nie tylko Wschodniego. Katechizm Kościoła Katolickiego ukazuje miejsce ikony w Kościele i jej związek z Liturgią, i to nie tylko wschodnią: *Święty obraz, ikona liturgiczna, przedstawia przede wszystkim Chrystusa. Nie może ona przedstawiać niewidzialnego i niepojętego Boga; dopiero Wcielenie Syna Bożego zapoczątkowało ową „ekonomię” obrazów* (KKK 1157).

Inspirujące jest więc wezwanie Josepha Ratzingera (Benedykta XVI) do pogłębionej recepcji Soboru Nicejskiego II w książce „Duch liturgii” (rozdział „Sztuka i liturgia”). Papież podkreśla wartość i inność tradycji zachodniej sztuki sakralnej, ale jednocześnie wskazuje na jej „degenerację”, wywołaną niezrozumieniem przez Kościół Zachodni wspomnianego Soboru. Papież wskazuje, że ikona może być pomocą na czas kryzysu sztuki sakralnej w Kościele: „Prawidłowo rozumiana ikona odwodzi nas od fałszywego pytania o zmysłowo uchwytny portret i właśnie w ten sposób pozwala rozpoznać oblicze Chrystusa, a w Nim oblicze Ojca. W ten sposób w ikonie objawia się duchowy kierunek, obecny również w liturgicznym zwróceniu się na Wschód. Ikona chce pociągnąć nas na wewnętrzną drogę, na drogę „Wschodu”, naprzeciw przychodzącemu powtórnie Chrystusowi. Jej dynamika jest w całości



Ikona tryptyk Deesis (Chrystus Pantokrator adorowany przez Bogarodnicę i Jana Chrzciciela) z kaplicy nowicjatu dominikanów w Warszawie, namalowaną przez p. Izabelę Murzę. Fot. o. Maciej Biskup OP

tożsama z dynamiką liturgii. Jej chrystologia jest trynitarna – to Duch Święty czyni nas widzącymi, to Jego działanie wywołuje w nas zawsze ruch w kierunku Chrystusa. „Napojeni Duchem, pijemy Chrystusa” mówi św. Atanazy. Ów ogląd, który pozwala nam postrzegać Chrystusa nie „według ciała” (2 Kor 5, 16), umożliwia nam równocześnie spojrzenie na Ojca”.

Ikona i sztuka bizantyjska już dawno wspierała sztukę sakralną Kościoła łacińskiego w Polsce. W XV wieku czymś naturalnym były w katolickich świątyniach na terenie Polski freski bizantyjsko-ruskie, tzw. „Picturagracea”. Możemy je do dzisiaj podziwiać w formie fresków w Kaplicy Zamkowej w zamku królewskim w Lublinie, w prezbiteriach katedry sandomierskiej i kolegiaty w Wiślicy oraz w Kaplicy Świętokrzyskiej w katedrze krakowskiej. Miejscem, w którym nie zachowały się tego rodzaju freski – ale ich istnienie potwierdza kronika Długosza oraz badania konserwatorskie – jest katedra gnieźnieńska. Ten przykład tylko pokazuje, że ikona i bizantyjska sztuka sakralna nie musi być czymś obcym dla przestrzeni liturgicznej Kościoła łacińskiego: „I oto w czterysta lat po rozłamie wciąż okazywało się, że teologicznie nie ma tu problemów niedopuszczalnych, że ten ożenek zachodniej, gotyckiej architektury ze wschodnią, bizantyjską malowaną teologią funkcjonuje doskonale” – pisał wybitny historyk sztuki Tadeusz Chrzanowski.

PO MOJEJ ŚMIERCI

Tekst

ks. Marcin Sęk, TChr

„Po mojej śmierci nikt nie znajdzie w moich notatkach ostatecznego wyjaśnienia, co naprawdę wypełniało moje życie” Søren Kierkegaard

Czytam o samotności Kierkegaarda, zerwanych zaręczynach i wyborze, jakiego dokonał. Wśród wielu powodów podaje się cień jego „vita ante acta” (życia przed nawróceniem). Obok tego znaleźć u niego można, szczególnie w „Dzienniku uwodziciela” wiele fragmentów mówiących o samotności jako wyborze, radykalnym i świadomym, nieodzownym dla drogi, którą kroczył. „Vita ante acta” jednak zastanawia...

Niesiemy zawsze jakiś cień przeszłości, ciągniemy za sobą jakąś niewidzialną nić. Szpulę, na którą jest nawinięta, trzymamy w rękach i rozwijamy z każdą sekundą życia, drugi natomiast koniec uwiązany jest niczym pępowina gdzieś w zamierzchłej przeszłości, do której nie dociera nasza świadomość. Na tej nici wiążemy czasami supły, którymi oddzielamy kolejne etapy życia. Uczymy się chodzić, mówić, czytać, pisać, zaczynamy myśleć abstrakcyjnie, zdobywamy kolejne doświadczenia. Pojawiają się supły radości, smutku, rozczarowań, bólu, pierwszych miłości, poważnych decyzji. Pojawia się wreszcie supeł „nawrócenia”, supeł wejścia na drogę świadomego dorosłego życia, supeł, który wyznacza dzień, od którego „wszystko się zmieniło”, a przed którym to dniem wiedliśmy nasze „vita ante acta”... Pieczołowicie wiążemy te supły, które w naszym wyobrażeniu urastają niejednokrotnie do rangi jakichś atomowych schronów szczelnie izolujących to, co było „przed” od tego, co „po”. Wiążemy je często pod osłoną nocy, przy zgaszonym świetle...

Nieraz co prawda wracamy do wydarzeń „sprzed”, oświetlamy je blaskiem reflektora, wydaje nam się, że „stajemy w prawdzie”... Tymczasem światło reflektora tworzy atmosferę teatralną, w której błyszczą szczegóły, a tło rozmywa się w półmroku lub zupełnych ciemnościach... Zdecydowanie nie lubimy naszego „vita ante acta”, a ta prymitywna reżyseria szczegółów jest w gruncie rzeczy niczym innym jak tylko próbą powiększenia supła, który wydawał się zbyt cienki, podkreśleniem dystansu czy nawet szaleńczą próbą zerwania tej nici z naiwną wiarą, że uda uzyskać się nową...

Tymczasem „vita ante acta” powraca w najmniej spodziewanych momentach. Zdaje się przeczyć naszemu intelektowi, sile woli. Powraca w gestach i czynach, przebija się w myślach i słowach, próbuje zawładnąć nami, trafić na jakąś chwilę naszej nieuwagi i bezwzględnie wkroczyć w nasze uporządkowane życie „post acta”...

Jaki więc sens wyznaczania granicznych momentów życia, podkreślania przełomów, nawróceń? Różewicz pisał: „od jutra się zmienię” – pokazując tym częstym refrenem naszych postanowień, niemożliwość jakiegokolwiek zmiany „jutro”... Ja dziś dodałbym drugi przeklęty refren naszej słabości: „wczoraj się zmieniłem”...

I po co to piszę? Piszę, bo mam nadzieję... Nadzieję, że ostatecznie wszystkie „dookreślenia” okażą się zbędne... Nadzieję, że nie ma „mnie-jutro”, nie ma „mnie-wczoraj” i nawet „ja-dziś” tak naprawdę nie istnieje... Bo supły na nici nie istnieją – nie ma jutra, wczoraj, dziś... A co pozostaje? Pozostają ja – „nie-rozbity”, „nie-podzielny” – ja jako cel bezinteresownej miłości kogoś, kto nie zwraca najmniejszej uwagi na tak zaciekle wiązane supły na nici życia, kogoś, kto jest ponad tym wszystkim, i kogo tak naprawdę to wszystko nie interesuje, bo szalenie interesuję go ja...

Kierkegaard napisał: „Stale byłem pewny, i szczęśliwie pewny, że Bóg jest miłością. Nic nie było dla mnie bardziej pewne”.

„Nie-rozbity”, „nie-podzielny”, święty i grzeszny zarazem zebrzę tej miłości...

SPOWIEDŹ EWANGELIKA

-CZYLI DLACZEGO WZIĄŁEM UDZIAŁ W PAPIESKIM SPACERZE...

Tekst

ks. Sławomir Sikora

proboszcz parafii ewangelicko-augsburskiej
w Szczecinie

Ktoś kiedyś powiedział, że wszystko ma swoje granice, których nie warto przekraczać. Ekumenizm również. Czy we wszystkich świętąch, uroczystościach, wydarzeniach możemy brać udział wspólnie z chrześcijanami innych wyznań? Zamiast wymyślać wyszukane sytuacje, spróbuję odpowiedzieć (może przede wszystkim sobie samemu?) na pytanie, czy nadanie Papieskiemu Spacerowi z Olimpijczykami ekumenicznego charakteru było przekroczeniem zabronionej granicy? Oto moje przemyślenia. Szczere jak na spowiedzi...

Bardzo krótko przypomnę, że papież nie jest głową kościoła prawosławnego ani ewangelickiego. Po drugie, ewangelicy nie uznają kanonizacji na świętych. Wyznajemy tylko zasadę „powszechnej świętości”, która obejmuje wszystkich ochrzczonych i praktykujących w miłości naśladowców Jezusa. Ks. dr Marcin Luter uważał, że chrześcijanie dzielą się tylko na dwie grupy: żyjących i nieżyjących już świętych. Zatem cały proces beatyfikacji oraz kanonizacji Jana Pawła II jest obcy tradycji ewangelickiej. Nie jest to bez znaczenia. Tu rodzi się pierwsza wątpliwość, która pojawia się w trakcie papieskiego spaceru. Rozpoczyna się on pod pomnikiem błogosławionego (dla rzymskich katolików) Jana Pawła II wspólną modlitwą oraz

wezwaniam, aby nam patron spaceru błogosławił. Tak jak nie ma nic bardziej jednoczącego niż modlitwa Ojciec Nasz, tak jakiegokolwiek wezwanie do błogosławionego lub świętego budzi zastrzeżenia. Nie chcę przez to powiedzieć, że na papieskim spacerze nie ma prawa paść takie zawołanie. Wręcz przeciwnie. Pytanie jedynie brzmi: czy ja jako ewangelik powinienem w tym uczestniczyć? Zwrócę tylko uwagę, że praktycznie na każdym nabożeństwie ekumenicznym takie wezwania są częścią liturgii katolickiej lub prawosławnej, a jednak nie przeszkadza to protestantom w tej liturgii uczestniczyć. Nawet jeśli kult świętych nie znajduje zrozumienia w mojej ewangelickiej duchowości, to potrafię zrozumieć, że dla kogoś może to być ważne. Bardziej zastanawiam się nad ekumeniczną świadomością Polaków. Czy moja obecność na papieskim spacerze nie będzie odebrana jako wyraz mojego emocjonalnego zaangażowania się w przyszłoroczną kanonizację polskiego papieża. Gorzej: czy ktoś nie pomyśli, że biorę udział w tego typu wydarzeniach, ponieważ doszedłem do wniosku, że temat papieski jest na tyle nośny, medialny i wzbudzający pozytywne emocje, że postanowiłem „zdradzić” swoją wyznaniową tożsamość i wykorzystać szansę „zaistnienia”? Myślę, że w tym miejscu warto zadać inne pytanie: czy w Polsce jest miejsce na rzetelną wymianę myśli związaną z dorobkiem Jana Pawła II? Na dyskusję, w której jest przestrzeń do zwrócenia uwagi na pozytywne i negatywne aspekty jego pontyfikatu? Takie spojrzenie na dorobek duchowy mógłby mieć wtedy bardzo ekumeniczny charakter. Mimo że Jan Paweł II nigdy nie będzie dla mnie świętym w rzymskokatolickim rozumieniu, to już teraz jest dla mnie postacią, którą cenię za wielki wpływ na współczesne chrześcijaństwo. Może być inspiracją do życia w wierze wielu chrześcijan różnych wyznań. To jest przyczyna, dla której zdecydowałem się wziąć udział w papieskim spacerze.

Przypomnę, że pierwotnym założeniem tego przedsięwzięcia było i nadal jest zachęcić rodziny, różne pokolenia do aktywnego spędzania czasu. Spacer jest wspaniałą formą ruchu oraz spędzania wspólnych chwil w rodzinnej atmosferze. Pod



Fot. Piotr Kofodziejski

taką ideologią podpisują się zapewne wszyscy chrześcijanie. Nie ma też lepszego patrona dla takiej inicjatywy niż Jan Paweł II, który uwielbiał sport. Jego zdjęcia w kajaku, na rowerze lub w czasie górskich spacerów budzą we mnie bardzo pozytywne odczucia. Uważam, że obcowanie z przyrodą w czasie uprawiania sportu bardzo pobudza ducha człowieka. Osobiście doświadczam wspaniałego błogostawieństwa w trakcie górskich wędrówek lub w czasie biegania po parkach, lasach, górach. Chrześcijańska troska o własne ciało, o zdrowie i kondycję fizyczną nie ma nic wspólnego z narcystycznym patrzyeniem w lustro. Jest wyrazem przyjmowania swojego życia i swojego ciała jako daru Boga. Obawiam się, że zachodnie chrześcijaństwo za mało to podkreśla, pozwalając, aby to wschodnie religie kojarzone były z dbałością o duszę i ciało. Dlatego uważam, że taki dzień, w którym rano jest wspólny spacer, a wieczorem jest wieczór poezji, to połączenie, które pięknie się ze sobą komponuje. Taki model chrześcijaństwa jest mi bardzo bliski. Dbałość o ducha i ciało oraz duchowość wyrażona w poezji – zaparłbym się samego siebie, gdybym w czymś takim nie uczestniczył. Tak prawda. Jak na spowiedzi...

I ostatnia kwestia. W czasie wieczoru poezji usłyszeliśmy również wiersz ks. Dietricha Bonhoeffera (oprócz Wierzyńskiego, Coubertina). Czy to nie jest „wchodzenie” z Bonhoefferem przy każdej nadarzającej się okazji? Czy Jana Pawła II łączy rzeczywiście tak wiele z Bonhoefferem? Zaczniemy od najmniej przemawiających argumentów. Obaj są chrześcijańskimi ambasadorami na rzecz dbałości o kondycję fizyczną. Bonhoeffer cieszył się szacunkiem seminarzystów. Imponował tężyzną fizyczną, którą zapewniało mu między innymi wspólne pływanie w morzu i gra w tenisa stołowego. Obaj byli poetami. Pozostawili po sobie wiersze, które inspirują do otwierania oczu na sprawy duchowe. I wreszcie najistotniejszy argument: obaj stanowią autorytet nie tylko wśród chrześcijan ich wyznania. Obaj są cenieni przez chrześcijan różnych konfesji. Obaj zyskali uznanie ateistów oraz osób krytycznie wypowiadających się na temat wiary i Kościoła. Co prawda osobiście nie odpowiada mi ta koncepcja Bonhoeffera, ale wielu nazywa go świętym ewangelickim, choć sam o sobie tak nie myślał. Czy zatem łączenie duchowości Jana Pawła II i Dietricha Bonhoeffera jest nadużyciem? Przekroczeniem granicy dobrego smaku? Pytam się Ciebie, Drogi Czytelniku, szczerze, jak na spowiedzi...

Adam Wiktor Siedlecki

Moja cisza

moja cisza
woła cię najmocniej

w mojej ciszy
stajesz najwyraźniej

w ciszy we mnie
przemawiasz najpełniej

gdy słucham Ciebie

Adam Wiktor Siedlecki

Jak tylko

Nie zakłóczę mocniej do Twego serca
jak tylko ciszą

nie znajdę pewniej u Ciebie Panie
jak tylko oczekiwaniem

nie poproszę właściwiej przed Tobą
jak tylko dziękczynieniem

„POWINNIŚMY PROWADZIĆ WIERNYCH DO ŚWIĘTEJ RÓWNOWAGI”

Rozmawiał
Piotr Kołodziejski
parafia rzymskokatolicka
pw. Matki Boskiej Jasnogórskiej

Współzałożyciel wspólnoty Przymierze Miłosierdzia o. Antonello Caddedu poprowadził we wrześniu w Szczecinie rekolekcje uzdrowienia. Oto co włoski duchowny powiedział specjalnie dla audycji katolickiej „Religia na fali” w Radiu Szczecin.

Piotr: Czy wie ojciec, kto powiedział o ruchu odnowy charyzmatycznej te słowa: „Na przełomie lat 70/80 nie mogłem na nich patrzeć. Oni myślą celebrację liturgiczną ze szkołą samby”?

O. Antonello: Tak, wiele razy to podkreślano. W tej chwili nie pamiętam, ale mówili o tym chyba jacyś księża, jakiś kardynał.

P: To słowa papieża Franciszka podczas konferencji prasowej na pokładzie samolotu w czasie powrotu z Rio de Janeiro ze Światowych Dni Młodzieży.

O. A.: Masz rację. To słowa papieża.

P: Po chwili jednak dodał, że nawrócił się, gdy poznał ich lepiej. „Czynią wiele dobrego, mają dobre kierownictwo, a ruchy są łaską Ducha Świętego” - stwierdził Franciszek. Co jest takiego fascynującego w ruchach charyzmatycznych, na przykład w takiej wspólnocie jak Przymierze Miłosierdzia?

O. A. Jest jeszcze wielu księży, kardynałów, biskupów, którzy myślą jak papież 30-40 lat temu. W ciągu 40 lat, od kiedy narodziła się Odnowa w Duchu Świętym, rzeczywistość jest jasna, jest posłuszeństwo Kościołowi i papieżowi. Mówię to, ponieważ te formy charyzmatyczne narodziły się wiele razy w okresie 2000 lat Kościoła Katolickiego. Z tą różnicą, że inne ruchy, które narodziły się w ubiegłych wiekach, zbuntowały się przeciwko papieżowi i zniknęły. Natomiast Odnowa w Duchu Świętym, która narodziła się w 1967 roku trwa w łączności z Kościołem i papieżem. W ostatnim czasie, kiedy biskupi zorganizowali spotkanie, jeden z hierarchów, który nie jest związany z Odnową powiedział, że dzięki Odnowie w Duchu Świętym przez te 40 lat wielu wiernych nie odeszło z Kościoła Katolickiego. Uratowało to Kościół Katolicki, bo inaczej wierni poszliby do sekt ewangelikalnych, protestanckich.



P: Dziś podczas kazania padły słowa o sekcie ewangelikalnej. Jak w takim razie ojciec podchodzi do ekumenizmu i jak te słowa rozumieć? Czy wszystkie kościoły ewangelikalne mamy rozumieć jako sektę, czy chodzi o pewien odłam, czy wyłomowców wśród nich?

O.A. Trzeba dobrze to rozdzielić. W XVI wieku powstały luteranizm i kalwinizm. Pojawił się luteranie, baptyści, ewangelicy i anglikanie. Zaraz na początku 1900 roku pojawiło się wiele grup, które oddzieliły się od Kościołów ewangelikalnych. Oni stworzyli w Kościele Zielonoświątkowym odłamy o charakterze mocno charyzmatycznym. Na przykład w Stanach Zjednoczonych powstał kościół, który nazywa się Zgromadzenie Boże, który wykorzystuje charyzmaty. Z tego drugiego momentu w historii kościoła ewangelikalnego wyodrębnił się pastorzy w wielu częściach świata, którzy rzeczywiście tworzą prawdziwe sekty. Tam pastorzy przygotowują się, uczą się, żeby nabierać wiernych przez sztuczki psychologiczne, pranie mózgu wielu wiernych, którzy są prości, którzy nie wiedzą, jaka jest prawda. Oni przywołują prostych ludzi, obiecując uzdrowienia fizyczne, obiecując niebo, obiecując prosperitę, idąc przeciwko Kościołowi Katolickiemu i przeciwko Matce Bożej. Mam wielu przyjaciół, którzy są pastorami w Kościele Zielonoświątkowym w Brazylii i oni sami mówią, że wiele z tych sekt niestety pochodzi od szatana. Trzeba więc uważać, kiedy mówi się o części protestanckiej, bo nie wszystko jest sektą. My z dobrą częścią protestancką przechodzimy drogę ekumeniczną.

P: Publicysta religijny Szymon Hołownia napisał niedawno o Jezusofobii w Polsce. O tym, że jest lęk przed dawaniem świadectwa o Jezusie. Bardziej ucieka się do moralizowania i pouczania, co jest dobre, a co złe i brakuje świadectw wiary. Czy ojciec zauważył takie zjawisko w Polsce?

O.A.: Mniej więcej 10-15 lat temu była taka pokusa, aby poprzez ewangelię moralizować i pouczać. Pontyfikaty Jana Pawła II, Benedykta XVI i papieża Franciszka bardziej jednak stawiają w centrum Jezusa. 2 lata temu na kongresie Matki Bożej w Aperciedzie biskupi z Ameryki Łacińskiej i Karaibów powiedzieli bardzo jasno, że

powinniśmy bardziej wskazywać na Jezusa, a zmniejszać moralizowanie. Tym bardziej, że współczesny człowiek jeszcze bardziej potrzebuje Jezusa. Trzeba, żeby ateista, człowiek, który nie zna Boga, miał doświadczenie Jezusa. Potrzebuje tego bardziej niż moralizowania.

P: Czy, zdaniem ojca, jest jakiś złoty środek między emocjonalnym uniesieniem w wierze, jak choćby w przypadku spotkań wspólnoty Przymierze Miłosierdzie, a bardziej racjonalnym podejściem do wiary? Czy jest tu złoty środek, czy wchodzimy wtedy w postawę „letniego katolika”?

O.A.: Powinniśmy uważać, ponieważ niektórzy wskazują na rozum i uważają, że wszystko powinno być rozwiązane przez rozum. Inni znowu bardziej kierują się emocjami. Ja wierzę, że nie powinniśmy dzielić tych dwóch rzeczy, ponieważ człowiek to rozum i emocje. Rozdzielanie tego, to dzielenie ludzkiej osobowości. Wiele razy zaraz po Soborze Watykańskim II wielu teologów, w szczególności biblistów, chciało tylko przez rozum i racjonalizm wyjaśnić ewangelię. Doszli do tego, że nie wierzyli w rozmnożenie chleba i w uzdrowienia, które czynił Jezus. Dlaczego? Ponieważ rozum stał się wszystkim w życiu tak jak iluminizm. W kwestii odnowy charyzmatycznej czasem bardziej podkreśla się emocje. W tych dwóch ekstremach zawsze są błędy. Powinniśmy połączyć ze sobą te dwie rzeczy, ponieważ człowiek to inteligencja, rozum, ale również serce i emocje. Uważam, że w tym temacie bardzo uczy nas papież Franciszek. On mówi o doktrynie w sposób bardzo prosty, ale w tym samym czasie używa gestów emocjonalnych, które dotyczą serca osoby. Widzieliśmy to na Świątowych Dniach Młodzieży w Rio de Janeiro, kiedy 3,7 mln osób uczestniczyło w mszy św. Moim zdaniem, powinniśmy kroczyć drogą, którą wskazuje papież Franciszek, ponieważ on robi to bardzo dobrze, łącząc rozum z emocjami.

P: Spoczynek w Duchu Świętym. Jedni rzeczywiście go doświadczają, jest to działanie Ducha Świętego, ale może to być też działania złego ducha lub efekt hysterii. Dlaczego ludzie chcą czasami na siłę doświadczać tego spoczynku, skoro i tak wierzą w Boga i nie jest to im do niczego potrzebne?

O.A: Wierzę, że nie można mówić, że nie potrzeba jednej czy drugiej rzeczy, aby doświadczyć Ducha Świętego. Nie my decydujemy, co ma robić Duch Święty, ale to On robi, co chce. Nie powinniśmy decydować, co powinien, a czego nie powinien robić Duch Święty. On robi to, co chce, dla dobra osoby. Są osoby, które chcą mszy św. tylko w języku łacińskim. Inni chcą tylko upadać i mieć spoczynek w Duchu. A co robi Kościół? Kościół jest Matką. Ona czeka ze spokojem, jak każda matka, żeby dany człowiek wzrastał. Czy to ten, który chce łaciny, czy też ten, który chce żyć tylko i wyłącznie z podniesionymi rękoma. Przesada nigdy nie jest dobra ani w jedną ani w drugą stronę. Powinniśmy prowadzić naszych wiernych do świętej równowagi i pozwalać, aby Duch Święty czynił to, co chce.

P: Mówił ojciec na konferencji o walce Jakuba z aniołem, że zawsze musimy walczyć z Bogiem w życiu. Czy to oznacza, że w życiu o swoje cele i marzenia trzeba walczyć, a powiedzenie „Bóg tak chciał” nie jest dobre, bo w życiu o swoje cele i marzenia trzeba zabiegać, a w tym pomaga nam Bóg?

O. A: Powiedziałem podczas konferencji, że trzeba walczyć z Bogiem i walczyć przeciw demonowi. Niestety nasze życie jest dotknięte przez grzech pierworodny, więc aby dojść do Boga musimy dużo walczyć przeciw naszej grzesznej naturze. W Piśmie Świętym jest napisane, że anioł Boży walczył przeciw Jakubowi. To, co mówię, że Jakub chciał poznać Boga, więc walczył. On chciał znać imię Boga. Nie chciał pozostawić Boga w tej walce, ponieważ chciał zrobić wszystko, co możliwe, aby poznać imię Boga. Ale Stary Testament mówi, że nie można poznać imienia Boga, bo Bóg jest zawsze ponad, jest wszechobecny i wszechmogący. Nie można poznać Boga w pełni, bo to niemożliwe, a Jakub chciał poznać imię Boga. Bóg nie podał swojego imienia, a tylko i wyłącznie misję dla Jakuba – „Ty nie będziesz już więcej nazywał się Jakubem, ale Izraelem. Moim ludem”.

P: Czy to oznacza, że naszą pokorną modlitwą, możemy wyprosić u Boga prośby i taski, czyli to, co chcemy w życiu sami spełnić?

O.A: Powinniśmy walczyć przeciw naturze, która prowadzi nas do rzeczy materialnych. Aby zawsze móc patrzeć wysoko. Innym razem Jakub znalazł się naprzeciw wysokiej drabiny, gdzie widział aniołów, którzy wchodzili i schodzili po tej drabinie. I zawsze w codziennej walce powinienem wznosić się po tej drabinie. To wymaga dużo zachodu i włożonej walki. Ale tak dochodzi się do świętości.

Dziękuję za rozmowę!

CZY EWANGELICYZM TO JEST TO SAMO CO EWANGELIKALIZM? - ZAGUBIENI W GĄSZCZU POJĘĆ

Tekst
ks. Sławomir Sikora
proboszcz parafii ewangelicko-augsburskiej
w Szczecinie

Szczerze współczuję wszystkim, którzy nie będąc protestantami, próbują odnaleźć się w wielkim gąszczu różnych nazw, które dla niewtajemniczonych stanowią bardzo szeroką paletę synonimów. Protestant, ewangelik, luteranin, kościół ewangelicki, kościół ewangelikalny – to wszystko brzmi tak podobnie, że można pomyśleć, że to tylko różne nazwy na określenie tego samego. Nic bardziej mylnego, dlatego spróbuję pomóc nadać poszczególnym nazwom właściwe znaczenie.

Protestanci – historyczna nazwa powstała po sejmie w Spirze w 1526 roku, na którym zwolennicy Lutra zaprotestowali przeciwko uchwale zabraniającej głoszenia idei reformacyjnych oraz przechodzenia na luteranizm. Zatem pierwotnie protestantami nazywano zwolenników reformy Kościoła zapoczątkowanej przez ks. dr. Marcina Lutra. Dzisiaj pojęcie protestanci zostało rozszerzone do ewangelickich kościołów tzw. historycznych (w Polsce funkcjonują pod nazwami: Kościół Ewangelicko-

Augsburski, Kościół Ewangelicko-Reformowany oraz Kościół Ewangelicko-Methodystyczny), kościołów ewangelikalnych (np. Kościół Zielonoświątkowy, Kościół Chrześcijan Baptystów, Kościół Ewangelicznych Chrześcijan), jak i wielu kolejnych odgałęzień, które zarówno w teologii, jak i w duchowości są bardzo już dalekie od luteriańskiej tradycji.

Ewangelicy – w ten sposób określane są chrześcijanie, którzy należą do Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego (Luteriańskiego), Ewangelicko-Reformowanego (Kalwińskiego) lub Ewangelicko-Methodystycznego. W Szczecinie jest tylko parafia luteriańska. Znam kilku metodystów. Zatem można używać uproszczenia, mówiąc kościół ewangelicki i wiadomo, że ma się na myśli luteriański. W przypadku miast, w których funkcjonują dwie lub trzy parafie w poszczególnych tradycjach, takiego skrótu nie można stosować. Wtedy musimy rozróżnić parafie: luteriańska lub augsburska, reformowana lub metodystyczna.

Luteranie – to jest pojęcie już bardzo wąskie, odnoszące się tylko i wyłącznie do ewangelików wywodzących się z Reformacji zapoczątkowanej w Niemczech przez ks. Marcina Lutra. Większość kościołów tej tradycji używa nazwy Kościół Luteriański (np. Lutheran Church). W Polsce przyjęto nazwę Kościół Ewangelicko-Augsburski, ponieważ 25 czerwca 1530 roku na sejmie w Augsburgu zwolennicy reformy Kościoła po raz pierwszy przedstawili w formie pisemnej swoje wyznanie wiary, w którym zawarli artykuły, w których potwierdzają zachowanie wierności pierwotnej nauce Kościoła, artykuły, w których krytykują nadużycia średniowiecznego Kościoła. Coraz częściej w Polsce zaczyna używać się nazwy Kościół Luteriański.

Kościół ewangelikalne – używając ogromnego uproszczenia, są to kościoły w pewien sposób wyrastające z tradycji reformacyjnej głównie w XIX i XX w. Najważniejszymi cechami różniącymi te kościoły od kościołów ewangelickich są: chrzest tylko osób dorosłych, o wiele dalej posunięty konserwatyzm religijny, znacznie większa aktywność misyjna członków tych kościołów (więcej akcji ewangelizacyjnych, działań na ulicy), bardziej wyraziste podkreślanie roli Ducha Świętego oraz Jego oddziaływanie na wierzącego (głosolalia czyli dar mówienia językami – wypowiedanie słów i dźwięków, których sam wypowiedający może nie rozumieć, w skrajnych przypadkach „śmiech w Duchu Świętym”, utrata przytomności pod wpływem działania Ducha Świętego itp.). Wśród kościołów ewangelikalnych można rozróżnić te głównej tradycji (np. Kościół Zielonoświątkowy, Kościół Chrześcijan Baptystów, Kościół Ewangelicznych Chrześcijan) oraz wiele innych, które najczęściej powstały na skutek podziału i wystąpienia z innego protestanckiego kościoła.

Podsumowanie: z naszego luteriańskiego punktu widzenia najbardziej niebezpieczne jest mylenie pojęć „kościół ewangelicki” z „kościół ewangelikalny”. Tak jak w Szczecinie potrafimy, mimo poważnych różnic, współdziałać i tworzyć jedność duchową z protestantami głównych tradycji (pastorzy zaangażowani są np. w Tydzień Modlitw o Jedność Chrześcijan), tak trudno jest nam znaleźć wspólny język z kościołami ewangelikalnymi tzw. „drugiej lub trzeciej tradycji”. Duchowość

proponowana przez te kościoły nie tylko jest daleka od tradycji ewangelickiej, ale nawet w nauczaniu i w wielu praktykach zupełnie sprzeczna z naszą teologią oraz pobożnością.

Mówienie o „sektach ewangelickich”, które stanowią zagrożenie dla tradycyjnego chrześcijaństwa jest poważnym błędem, który nie powinien mieć miejsca (tak się niestety stało w czasie rekolekcji w szczecińskiej katedrze prowadzonych przez o. Antonello). Nawet jeśli luteranizm na świecie jest bardzo urozmaicony, to żaden kościół luterski nie działa w formie tajemniczej sekty, nad którą nikt nie ma jakiegokolwiek władzy zwierzchniej (biskupi lokalni oraz biskupi główni dla danego państwa). Wszystkie zagrożenia, o których mówił o. Antonello dotyczą nie nas ewangelików, a skrajnie charyzmatycznych odmian kościołów ewangelikalnych. Podobnie jak o. Antonello, również jako ewangelicy przed takimi kościołami ostrzegamy, widząc ich destrukcyjne oddziaływanie na psychikę człowieka.

„WSZEDŁEŚ W TRUD TYCH, KTÓRZY BYLITU PRZED TOBĄ” - JUBILEUSZ ABP. JEREMIASZA

Tekst
Jarosław Kaczmarczyk
parafia prawosławna
pw. św. Mikołaja w Szczecinie

Bogu należy dziękować za wszystko, co nas w życiu spotyka, choć często o tym zapominamy. Wydaje nam się oczywistym to, że żyjemy, oddychamy, pracujemy, że posiadamy to i owo. Nie zdajemy sobie sprawy, że – podobnie jak Hiob – możemy to wszystko stracić w ciągu jednej chwili. Uświadomiłem to sobie bardzo wyraźnie w trakcie uroczystości związanych z jubileuszem abp. Jeremiasza, prawosławnego władcy wrocławsko-szczecińskiego. Jego choroba nowotworowa nie była tajemnicą; pogarszający się stan zdrowia i perspektywa nadchodzącej śmierci również. Jednak – dzięki Bogu – nie spełniło się to, czego się niektórzy spodziewali: władca Jeremiasz wrócił do sił. Dlatego z nieskrywaną radością wielu naszych parafian wyruszyło do Wrocławia, aby uczestniczyć w dziękczynieniu za 70 lat życia i 30 lat biskupiej posługi abp. Jeremiasza.

Wyruszyliśmy w nocy z soboty na niedzielę (28/29 września), aby zdążyć na poranną, niedzielną Eucharystię sprawowaną w prawosławnej katedrze Wrocławia przy ul. św. Mikołaja 40 (piękny patron ulicy, prawda?). Zmierzaliśmy do serca naszej diecezji. Nie była to dla nas wycieczka, lecz prawdziwa pielgrzymka. Tym bardziej, że wielu nazajutrz przystępowało do Ciała i Krwi Pańskiej, więc zachowywali eucharystyczny post, nic nie jedząc i niczego nie pijąc od sobotniego wieczora.



Fot. Jarosław Kaczmarczyk

Do Wrocławia dotarliśmy bardzo wczesnym rankiem. Wiele skorzystało z okazji i udało się na spacer po wrocławskim Starym Mieście. Około godziny 9.00 powoli zaczęliśmy się zbierać w katedrze. Ma ona swoją ciekawą historię, gdyż od swojego powstania w XV wieku była katolickim kościołem św. Barbary, w 1526 r. przeszła w ręce ewangelików, a z ostatniej wojny wyszła zniszczona w 70 procentach. Prawosławną katedrą została w 1963 r. i jest nią do dziś. O jej zachodniej (katolickiej i ewangelickiej) przeszłości przypominają gotyckie sklepienia, zaś o obecnym prawosławnym przeznaczeniu świadczy ikonostas i polichromie – dzieło Jerzego Nowosielskiego.

Do katedry na jubileusz swojego biskupa przybyli wierni ze wszystkich zakątków diecezji oraz bracia-biskupi z Cerkwi polskiej i ukraińskiej. Świętej Liturgii przewodniczył abp Sawa, metropolita Warszawy i całej Polski. Świętą Służbę cechowało niesamowite piękno. Wielkie wrażenie wywarł na mnie majestatyczny i donośny śpiew wszystkich zgromadzonych kapłanów – przesywał na wskroś i – nie waham się tego powiedzieć – dawał przedsmak nieba.

Po zakończeniu Eucharystii i modlitw w intencji Jubilatów głos zabrali przybyli goście. Abp Sawa, który osobiście w 1983 r. współkonsekwował i udzielał chirotonii biskupiej Jubilatowi, przypomniał pokrótce życie władcy Jeremiasza, jego wkład w życie nie tylko diecezji wrocławsko-szczecińskiej, ale i całej Cerkwi w Polsce (choćby sprawowanie funkcji rektora Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie – i to przez trzy kadencje!). Abp Sawa nawiązał do wysiedleń, akcji „Wisła” i trudnych losów prawosławnych chrześcijan w Polsce, które, wbrew intencjom prześladowców, przyczyniły się do wskrzeszenia prawosławia na Śląsku, zapoczątkowanego tu i w Małopolsce przez misje świętych Cyryla i Metodego: *To prawosławie uświęca również Pana, Panie wojewodo!* – słowa, których nie zapomnę. Obecny z nami pan Marek Skorupa, wojewoda dolnośląski też ich chyba nie zapomni...

Słowa uznania i podziękowania skierował również – obecny na całej Liturgii – wieloletni katolicki biskup Wrocławia kardynał Henryk Gulbinowicz. Z właściwym sobie poczuciem humoru pozdrowił abp. Sawę i rozpoczął mowę od słów: *Najprzewielebniejszy księżę Prymasie Kościoła Prawosławnego w Polsce...*, wiedząc doskonale, że w Cerkwi nie istnieje tytuł ani funkcja „prymasa”. Kardynał Gulbinowicz mocno podkreślał wkład i aktywne zaangażowanie abp. Jeremiasza w dialog ekumeniczny, choćby poprzez pełnienie od 2001 r. funkcji Prezesa Polskiej Rady Ekumenicznej. Zapadły mi w pamięć słowa kardynała o niemożności wybrania następcy, gdy abp Jeremiasz składał rezygnację po każdej zakończonej kadencji. Sam Jubilat, nie chcąc przedłużyć uroczystości, w krótkich słowach podziękował wszystkim za przybycie i modlitwę. Przybyli na uroczystość goście katedry jednak nie opuścili, lecz ustawili się do składania życzeń.

Okazją do bliższego spotkania z abp. Jeremiaszem była agapa i poczęstunek, na który zostaliśmy zaproszeni do jednego z hoteli. Śpiewom i licznym „Mnogaja lieta” (wschodnie „Sto lat”) nie było końca. Aż trudno uwierzyć na ile odmian można to było zaśpiewać. Obecni nie-prawosławni goście byli zaskoczeni atmosferą życzliwości i jej wylewnym, dalekim od stonowania, okazywaniem. Wielu miało łzy w oczach (z resztą nie tylko oni...). Akcentem ekumenicznym była obecność katolickiego księdza Michała Czajkowskiego z zespołu tłumaczy ekumenicznego wydania Pisma Świętego.

Miłym dla serca szczecinian były częste tej niedzieli nawiązania do naszego miasta. Władca Jeremiasz jest przecież oficjalnie arcybiskupem i Wrocławia, i Szczecina. Nasza szczecińska cerkiew św. Mikołaja jest „konkatedrą” abp. Jeremiasza.

Władca wielokrotnie dziękował i po liturgii, i na agapie, szczecińskim lekarzom: pani Małgorzacie Talerczyk i panu Michałowi Falco za „postawienie go na nogi”. Szczecińscy lekarze „zrobili swoje”. Władca dodał, że w Szczecinie (a mieszkał tutaj i leczył się pół roku) spotkał samych dobrych ludzi. Od siebie dodam, że tego dnia nasz proboszcz o. Paweł Stefanowski był rozpromieniony jak nigdy wcześniej. Również nigdy dotąd nie był tak dumny z naszego miasta i jego mieszkańców. Powrót do Szczecina popołudniem i wieczorem minął dziwnie szybko. Chyba za dużo było śpiewów i rozmów.

Dziękujemy Bogu za naszego biskupa. Podobno nie ma ludzi niezastąpionych, ale nikt nie potrafi wyobrazić sobie diecezji wrocławsko-szczecińskiej bez abp. Jeremiasza.

Mnogaja lieta, Władko!

Do zobaczenia u nas na święto św. Mikołaja (6/19 XII)!

PS
Zachęcam do obejrzenia fragmentów Świętej
Liturgii sprawowanej w dniu Jubileuszu –
29.09.2013 we Wrocławiu. Proszę zeskanować kod
QR, włączyć jakość HD i udostępnić dalej :)



ŚWIADECTWO

Tekst

Miłosz Sieradzki

Sao Paulo

Przymierze Miłosierdzia

Mam na imię Miłosz. Jestem Misjonarzem wspólnoty Przymierze Miłosierdzia. Jest to wspólnota zawiązana przez dwóch włoskich księży, o. Enrique i o. Antonello, tutaj w Brazylii, gdzie obecnie przebywam. Nasz ruch to nie tylko Brazylia, ale też kilka krajów europejskich, w tym Polska. Obecnie mieszkam w Botuqara – domu formacyjnym naszej wspólnoty, wraz z dwoma pozostałymi Polakami. Prócz codziennej formacji, uczestniczymy tu w licznych ewangelizacjach – bezdomnych, z którymi śpimy raz w tygodniu na ulicy, organizujemy zabawy dla młodych, przebywamy z prostytutkami i dziećmi ulicy, które mieszkają na fawelach, ale też odwiedzamy dzieci Indian.

Tą ostatnią ewangelizacją chciałem się z Wami podzielić. W Sao Paulo znajduje się Campus – rezerwat Indian, w którym mieszka około 80 rodzin indiańskich. Ich domy nie przypominają szałasów, które znamy z filmów, ale też odstają od standardów

życia przyjętych w Europie. Rodziny te żyją w małych budynekach z cegły, niektóre w barakach. Dostęp do wody oraz kuchni mają w wyznaczonych miejscach. Tym, co mnie uderzyło, gdy tam przyjechałem, był wszechobecny brud oraz dzieci biegające samopas bez żadnej opieki, mające od 2 lat po nastolatków. Jest też zauważalna różnica między dziećmi faweli, które bardzo często są agresywne, wobec tych, których nie znają, a dziećmi Indian. Ci drudzy są spokojni, ale bardzo brudni. U Indian nie istnieje kultura mycia. Zatem po niedługim czasie od naszego przyścia do Campusu byliśmy też brudni.

Dzieci te były złąknione uwagi, troski, dotyku, od pogłaskania po głowie, po przytulenie, gdy upadną na ziemię i stłuką sobie kolana. Tak wraz z pozostałymi Misjonarzami bawiliśmy się z nimi przez parę godzin. Zapamiętałem 8-letniego chłopca, który siedząc na mych kolanach, zainteresował się krzyżem.



Fot. Archiwum prywatne.



Fot. Archiwum prywatne.

Pytał z ciekawości, kim jest Jezus, kim Maryja? Tak rozmawialiśmy sobie. Wzruszającym momentem było, gdy podzielił się myślą – wujku, więc Jezus mieszka też w moim sercu, nie jestem sam i gdy płacę jest przy mnie! Potem wstał zaczął skakać i bardzo mocno krzyczeć z radości... ze szczęścia, że nie jest sam. Jest ktoś obok niego, ma przyjaciela o imieniu Jezus. To dziecko, które nigdy nie słyszało o Jezusie, pojęło tę prawdę, o której mówią nam latami teologowie. Jezus jest Miłosierdziem i chce stale być z nami. Czy to z dzieckiem w wiosce indiańskiej, z bezdomnym śpiącym w kartonie na ulicy czy przy prostytutce czekającej na klienta. Jezus stał się wszystkim, prócz grzechu dla wszystkich, by każdego z nas podnieść z naszych ciemności, naszego wstydu, naszej historii... Czy będziemy w stanie otworzyć nasze serca, tak jak to uczyniło to dziecko?

A Ty? Otworzysz swoje serce dla Niego? Przytulisz swoją historię i oddasz ją Miłosierdziu Bożemu?

Oto stoję u drzwi i kołaczę;
Jeśli ktoś posłyszyc mój głos i drzwi otworzy
wejdę do niego i będę z Nim wieszczę, a on ze Mną.
(Ap 3, 20)

CO ŁĄCZY JAZDĘ AUTOSTOPEM I BOGA?

Magdalena Żukowska
Duszpasterstwo Akademickie
"Brama" u dominikanów

Moja wakacyjna wyprawa ze Szczecina do Saint Pierre na południu Francji jest świadectwem zarówno wiary w Pana, jak i Jego obecności w moim życiu.

Zawsze marzyłam o podróży z plecakiem po Europie. Co rusz znajdowałam milion powodów, które taką przygodę uniemożliwiały. Wszystko zmieniło się w momencie, kiedy zaczęłam uczęszczać na spotkania w DA Brama. Tam po raz pierwszy usłyszałam o pięknostopowiczach, ludziach z całej Polski, którzy podróżują autostopem. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że głównym, a czasami jedynym towarzyszem ich wycieczek jest Bóg.

W głębi serca wiedziałam, że chcę tego spróbować. Pewnego dnia zobaczyłam plakat, że ze Szczecina będzie organizowany wyjazd autostopowy na rekolekcje do Saint Pierre. To był moment przełomowy, wiedziałam, że muszę wziąć w tym udział. Teraz, kiedy minęło już trochę czasu i wszystkie emocje opadły, wiem, że to była jedna z lepszych decyzji w moim życiu. Postanowiłam całkowicie zdać się na Boga. W portfelu miałam kilka euro, a do pokonania prawie 2 tysiące kilometrów. Najtrudniejsze było stanie na poboczu i oczekiwanie. Oczekiwanie na pomoc Boga – samochód, dobrych ludzi, dzięki którym pokonywałam kolejne odcinki mojej drogi. W takich momentach byłam całkowicie bezsilna. Musiałam pogodzić się z tym, że nic ode mnie nie zależy. Jednocześnie czułam w sercu całkowity spokój i świadomość tego, że nic mi się nie stanie, bo Pan jest ze mną. Mimo głębokiej wiary zdarzały mi się momenty zawahania. Nie raz zadawałam sobie pytanie, czy jestem w stanie to



Fot. Archiwum prywatne.

udźwignąć, może zbyt wiele wymagam od siebie i od Boga. Już na samym początku dopadły mnie chwile słabości. Pierwszego dnia udało mi się przejechać tylko 200 km, byłam załamana. Zastanawiałam się, czy zdążę dojechać na rekolekcje na czas. Swoje zmartwienia powierzyłam Bogu w wieczornej modlitwie. A następnego dnia, dzięki jego pomocy, pokonałam prawie całą trasę. Inną sytuacją, która dała mi szybką lekcję zaufania Bogu był przejazd z ostatnim kierowcą. Był to algierczyk, z którym ciężko było mi się porozumiewać, bo nie znam francuskiego. Z niewiadomych dla mnie powodów postanowił, że zawiezie mnie do samego Saint Pierre, nadrabiając przy tym ok. 300 km. Wcześniej jednak kilka razy powtarzał, że musi pojechać do jakichś magazynów. Magazyn to po francusku sklep, ale tego dowiedziałam się dwa dni później. Byłam wtedy przerażona. Obawiałam się, że grozi mi jakieś niebezpieczeństwo ze strony tego mężczyzny. W jednej chwili poczułam spokój i pewność siebie. Wiedziałam, że nie jestem sama, że wszystko będzie dobrze, no i oczywiście było.

Uczucie, które towarzyszyło mi, gdy znalazłam się przed bramą klasztoru, w którym odbywały się rekolekcje, jest nie do opisanie. Radość, zadowolenie z osiągniętego celu, wzruszenie i wiele więcej. Cały wyjazd był dla mnie czymś niezwykłym. Nauczyłam się i doświadczyłam więcej, niż przez całe moje życie. Zdałam sobie sprawę z tego, że można żyć bez komputera czy telewizji. Zrozumiałam, że z pomocą Boga uda się wyjść z każdej, nawet najgorszej sytuacji. Trzeba Mu zaufać i pamiętać, że nie każdy przypadek jest zawsze tylko przypadkiem.

NOWA KSIĄŻKA O MAMIE PAPIEŻA

WYWIAD Z MAŁGORZATĄ TERLIKOWSKĄ

Rozmawiała
Ewelina Dmitrowicz
Duszpasterstwo Akademickie
„W Sercu” u chrystusowców

16 października w Warszawie odbyła się prezentacja nowej książki Mileny Kindziuk "Matka Papieża. Poruszająca opowieść o Emilii Wojtyłowej". Wzięli w niej udział m. in. kardynał Kazimierz Nycz oraz Małgorzata Terlikowska.

Jakie są Pani wrażenia po przeczytaniu tej książki?

Książkę o matce papieża czytałam w bardzo specyficznych okolicznościach, dokładnie w III trymestrze ciąży, kiedy sama czułam już ruchy mojej córki. Próbowałam wówczas wczuć się w myślenie Emilii i zrozumieć ją tak po kobiecemu. Bo oto z kart książki Mileny Kindziuk Emilia jawi się jako kobieta bardzo mocno przekonana o swoim powołaniu, którym jest zrodzenie dzieci (sama miała ośmioro rodzeństwa). Od początku małżeństwa z Karolem jest w niej ogromne pragnienie bycia matką. Niestety droga do wypełnienia tego powołania nie była w jej przypadku

usłana różami. Emilia rodzi syna Edmunda, po paru latach znów jest w ciąży, którą zresztą bardzo ciężko znosi. Rodzi córkę Olgę. Dziewczynka żyje 16 godzin, umiera na skutek zachłyśnięcia się wodami płodowymi. Kona na rękach swojej mamy. Oczywiście Emilia płacze, jej serce rozdziera straszny ból, a jednocześnie – co dla mnie jest niesamowite – nie ma w niej buntu, jest pełna akceptacja woli Bożej. Widocznie Pan Bóg miał taki plan i trzeba się z tą wolą zgodzić. Trzecia ciąża matki Jana Pawła II zaczyna się wręcz tragicznie. Najlepszy ginekolog w mieście mówi jej, że albo ona umrze, albo dziecko, więc żeby się ratować powinna poddać się aborcji. Emilia jednak wie, że życie ludzkie jest wartością i nie zgadza się na zabicie dziecka. Szuka innego lekarza, który tę ciążę poprowadził do końca. Z opowieści położnej wiemy, że Emilia spodziewała się narodzin małego, wątłego dziecka. Tymczasem na świat przyszedł, zresztą przy dźwiękach śpiewanej w kościele obok Litanii Loretańskiej, dorodny chłopak. I matka, i dziecko przeżyli moment porodu. Co prawda Emilia przypląciła tę ciążę zdrowiem, nigdy już potem nie wyzdrowiała, jej choroba pogłębiała się z roku na rok, niemniej nigdy nie żałowała swojej decyzji. Od początku była przekonana, że dziecko, które urodziła, będzie kimś wielkim (zresztą miała tak też powiedzieć do swojej sąsiadki).

Marzeniem Emilii, o którym często mówiła, było to, by jeden jej syn został lekarzem, drugi – księdzem. I tak się stało. Edmund, starszy syn, skończył medycynę i pracował w szpitalu w Bielsku. Zmarł w wieku 26 lat po tym, jak zaraził się szkarlatyną (jako jedyny lekarz zajmował się młodą dziewczyną chorą na tę wówczas śmiertelną chorobę). Młodszy – Karol – został papieżem.

Skąd pojawia się porównanie Emilii Wojtyłowej z Guianą Berettą Mollą?

Tego porównania dokonał włoski dziennikarz. Proszę zauważyć, że Jan Paweł II bardzo rzadko mówił o swojej mamie, tak jakby skrywał przed całym światem jakąś tajemnicę. Wiadomo, że wiedział o swojej siostrze, wiedział też, przed jakim dylematem stanęła jego mama, kiedy nosiła Go pod sercem. Włączenie Guiany Beretty Molli, matki, która poświęciła swoje życie, by uratować swoje czwarte dziecko, do grona błogosławionych, było poniekąd hołdem dla Emilii Wojtyłowej za to, że wybrała życie, a nie aborcję.

Zaproszono Panią na konferencję poświęconą książce o matce papieża, by zyskać cenny głos matki pięciorga dzieci. Co ważnego, Pani zdaniem, mogą zobaczyć czy też zrozumieć współczesne matki i rodziny, poznając historię mamy i rodziny Jana Pawła II?

Myślę, że książka o Emilii Wojtyłowej była potrzebna właśnie teraz, kiedy z niemal każdej strony atakowana jest rodzina, a już szczególnie kobieta, matka, która zdecydowała się urodzić więcej niż dwoje dzieci. Sama niejednokrotnie spotykałam się z pytaniami, czy to wszystko moje dzieci, czy one były planowane itp. Przykład Emilii daje nam, współczesnym kobietom, po pierwsze nadzieję, a po drugie przekonanie, że warto angażować się w macierzyństwo, warto czerpać z niego siłę i w ten sposób realizować swoje powołanie jako kobiety.

Dziękuję za rozmowę!

POLSKO, KONSERWO MOJA!

Ewa Smutek
Duszpasterstwo Akademickie
„W Sercu” u chrystusowców

Ludzie teksty piszą. Na ogół nie jest to takie proste, na jakie wygląda. Redaktor naczelny prosił mnie o tekst zupełnie inny. Dlatego na wstępie muszę Go przeprosić. Wena okazała się słabsza, albo silniejsza, jak kto woli. Poniósł mnie nastrój i zbliżający się 11 listopada. Gdy jeszcze dodam, że od kilku lat na studiach uczę się, jak wydłużać moje teksty do granic nieczytalności, a tu Naczelny kazał mi zmieścić się w znormalizowanej stronie Worda, może trochę bardziej zrozumiecie, że zmiana tematu nie wzięła się jedynie z przysłowiowego: kobieta zmienną jest.

Do rzeczy, bo im dłużej o niczym, tym mniej miejsca na sam temat. Jestem debiutantką (przynajmniej na łamach „*Prosto z Mostu...*”), więc odczuwam ciężką na mnie presję. Opresję natomiast odczułam we Francji. Opresję podczas teatru *oppressed*. Krótki kontekst: byłam na dwutygodniowych warsztatach w międzynarodowym środowisku. Jednym z paneli były zajęcia teatralne (choć moim zdaniem trudno to do końca nazwać teatrem, a współtowarzyszki z Polski uznały, że to raczej forma resocjalizacji). Kwintesencją teatru *oppressed* jest ukazanie scenki, w której mamy do czynienia z sytuacją ucisku. Aktorzy zastygają w wymownych pozach, a do akcji włączana jest widownia. Przedstawiciele audytorium podchodzą i w taki sposób przestawiają aktorów, zmieniają ich gesty, wyrazy twarzy, aby „naprawiona” scenka przedstawiała optymalny obraz, na którym wszyscy będą zadowoleni, równi, uśmiechnięci. Idea tej formy teatralnej to ukazanie odbiorcom problemu, by wczuli się w położenie ciemnionej osoby oraz zrozumieli do czego powinni dążyć (brakuje tu oczywiście odpowiedzi na pytanie: jak to zrobić).

Mam nadzieję, że wyjaśniłam wystarczająco jasno. Forma nie każdemu odpowiada, ale nie czepiałabym się wcale, gdyby nie jeden istotny szczegół. Pod koniec warsztatów owoce naszej pracy prezentowaliśmy dzieciom. Maluszkom około 5-7 roku życia. Jak zaznaczyli organizatorzy, we Francji ciągle toczy się gorąca dyskusja na temat prawa do zawierania małżeństw homoseksualnych. W imię tolerancji i wolności, prawa do wyboru i takich tam, musieliśmy przedstawiać dzieciom scenkę, w której dwie lesbijki chcą zawrzeć związek małżeński, ale konserwatywne, złe przyjaciółki, siłą odciągają je od ołtarza. W tym momencie scena zamiera, a małe dzieci po kolei ustawiają aktorów tak, że wszyscy są szczęśliwi, uśmiechnięte lesbijki biorą ślub, a przyjaciółki cieszą się ich szczęściem.

Nie jestem typową polską prawicową konserwą. Rozumiem, że każdy jest kowalem swojego losu i – mimo że wielu rzeczy nie popieram i się z nimi nie zgadzam – nie można ludziom na siłę narzucić własnego zdania. Moi ukochani koledzy ze środowisk konserwatywnych często drażnią mnie swoją agresywnością w przekazywaniu własnego (często słusznego) zdania. Jednak kiedy widziałam to, co dzieje się tam – na „postępowym” Zachodzie, nie wytrzymałam. Dzieci – bez wiedzy rodziców, których nie pytało o pozwolenie („Aktorów” także nie pytało, czy zgadzają się zagrać w takiej scenie, czy to nie godzi w ich poglądy) – karmi się okropną, podstępą, zmanipulowaną rzeczywistością. Prawo do wyboru, równouprawnienie ważne jest o tyle, o ile zgadzasz się ze mną. W innym przypadku jesteś nietolerancyjny, homofobiczny.

Oczywiście, może upraszcam, może miałam pecha i trafiłam na niereprezentatywną grupę. Niemniej jednak przypomniałam sobie słowa Dokowicza, który wspominając własne nawrócenie, opowiedział, jak wracając do Polski czuł bardzo wyraźnie, że coś się zmieniło. Wkroczył na teren omodlonej ziemi.

Kiedy przyleciałam do kraju, przywitała mnie gorsza pogoda, nieumeblowane mieszkanie, pusta lodówka. Jednak po trzeciej w tym miesiącu przeprowadzce w końcu wiedziałam, co to znaczy Dom. Przyjaciółka na przywitaniu porozwieszała w mieszkaniu patriotyczne wierszyki. A ja po raz pierwszy w życiu naprawdę oczekuję 11 listopada. Kocham podróże. Ale jest tylko jedna taka Polska – najbardziej otwarta i tolerancyjna Konserwa jaką znam.

Weź udział w nowej zabawie audycji "Religia na Fali". Zagłosuj w Chrześcijańskiej (pamiętajcie chrześcijańskiej, a więc nie tylko katolickiej) Liście Przebojów. Szczegóły na radioszczecin.pl/religia. Co 2 tygodnie losowanie nagród!

Zapraszam do słuchania audycji katolickiej „Religia na Fali” w Polskim Radiu Szczecin w każdą niedzielę o godzinie 6:00. Od stycznia 2013 roku audycja o godzinie 6 rano. (częstotliwość 92 MHz). W audycji m.in. o wydarzeniach z życia Kościoła, dialogu ekumenicznym w Szczecinie, młodzieżowych wspólnotach, a także rozmowy z chrystusowcem ks. Zbigniewem Reguckim (duszpasterzem akademickimi w Sanktuarium Najświętszego Serca Pana Jezusa w Szczecinie) oraz ks. dr. Krzysztofem Łuszczkiem (Wydział Teologiczny Uniwersytetu Szczecińskiego). Można też wygrać nagrody książkowe. Wideorelacje, galerie zdjęć, zarchiwizowane audycje i informacje oraz archiwalne numery „Prosto z Mostu Młodzi...Ekumeniczni...Bóg...” na www.radio.szczecin.pl/religia. Szukaj nas na Facebooku: <http://www.facebook.com/religianafali>

Piotr Kołodziejski, **Zapraszam!**



Sebastian Roszkowski i Piotr Kołodziejcki zapraszają na sportową audycję w Internecie "Sport w Sieci". Ciekawi goście, wśród nich sportowcy, trenerzy, działacze i dziennikarze sportowi z innych mediów.

Rozmawiamy o wydarzeniach sportowych w Szczecinie, kraju i na świecie. Zapraszamy do słuchania na www.radioszczecin.pl/sws

Szukaj nas na Facebooku: <http://www.facebook.com/sws92fm>



MOIMI OCZAMI

Tekst

Olga Kwiatkowska

Duszpasterstwo Akademickie Wydziału

Teologicznego Uniwersytetu Szczecińskiego

Aby opisać wszystkie moje doświadczenia z wyprawy do Indii, nie starczyłoby kilku miesięcy ciągłych opowiadań lub setek tysięcy zapisanych stron. Tak samo jak nie jest łatwo nazwać jednym imieniem Indie, określić je jako coś skończonego, zdefiniowanego i oczywistego. Bo żadna z tych definicji nie pasuje. Nie miałam wiele czasu na przygotowania. Decyzja o wyjeździe zapadła spontanicznie. Coś mnie ciągnęło, coś mnie intrygowało. Taka uporczywa myśl, że muszę tam być, że muszę sama przekonać się o tym, jaki naprawdę jest ten kraj, w czym tkwi jego fenomen, czy te wszystkie historie, które opowiada nam się od małego, te legendy, niezwykle miejsca, ci jogi, którzy potrafią zdziałać cuda ze swoim ciałem, czy to naprawdę istnieje. Czy ja jestem gotowa zmierzyć się z prawdziwą twarzą Indii? Biły się we mnie myśli. Czy ta wyprawa będzie dla mnie pożyteczną lekcją czy straconym czasem. Czy może okaże się, że wszystkie moje dotychczasowe mniemania, moje opinie na temat tego kraju były tylko iluzją zbudowaną na stereotypie. Wielu odradzało mi tę wyprawę, niektórzy nawet straszili, widząc w tej decyzji szalony wymysł. Ja wiedziałam swoje. Ufałam sobie i Bogu. Moja wiedza szybko pokazała swoje ograniczenia i braki.

W zasadzie to trudno o jednoznaczną opinię na temat tego kraju, bo wszystko wydaje się tu nieskończone. Jest to miejsce szalenie zróżnicowane, kawałek ziemi, na którym żyją obok siebie hindusi, muzułmanie, buddyści, chrześcijanie i wyznawcy takich religii, o których wcześniej nie słyszałam. Żyją koło siebie, funkcjonują

w społeczeństwie bez większych konfliktów, potrafią budować swoją rzeczywistość na wzajemnym szacunku i respektowaniu praw, obowiązków i przekonań każdego z członków społeczeństwa. Z jednej strony ta religijna równość i wolność karze nam myśleć, że jest to naród niezwykle uduchowiony, pokojowy, kierujący się wysokim imperatywem moralnym, ale z drugiej strony, gdy pomyśli się o systemie kastowym, wciąż jeszcze uznawanym za dobry, coś zaczyna zgrzytać. Nic nie układa się w jedną, spójną, logiczną całość i takie właśnie są Indie. Niezdefiniowane, zaskakujące, takie, które można wciąż odkrywać na nowo i takie, na które nie można spojrzeć, mając tylko jeden punkt widzenia. Ciężko było mi zaakceptować to, że tylko dzięki swojemu urodzeniu jedni zasługiwali na pełny szacunek, czciło się ich i uważało za lepszych i jedynych godziwych, by to życie obdarzało ich wszystkimi swoimi bogactwami, a inni żyli wyklęci, zapomniani, opuszczeni na krańcach miast, w slumsach, pośród niewyobrażalnego głodu, pasożytów, zimna, skazani na ciągłą walkę o przetrwanie, zmuszeni do pogwałcania swojej ludzkiej godności, żebracy, złodzieje, prostytutki – młode kobiety. Jak pojąć taką sytuację? Jak możemy pogardzać innymi ze względu na status społeczny? A jednak jest to część kultury, którą respektowały obie strony – bogaci i biedni, nikt nie narzekał, nikt się nad sobą nie użalał, po prostu każdy żył swoim rytmem.

Indusi wierzą w reinkarnację i w karmę. Jeżeli moje poprzednie życie pełne było dobrych uczynków, pozytywnych, konstruktywnych myśli, miłości do Boga i do innych, wtedy naturalną konsekwencją jest lepsze, wyższe wcielenie, nagroda za moje mobilne, pełne prawdy życie. Jeżeli jednak zaniedbywało się rozwój duchowy i moje życie napędzały złe, destrukcyjne myśli, które miały mi przynieść największy zysk, nie biorąc pod uwagę, czy moimi uczynkami krzywdziłam innych, wtedy właśnie karą za takie życie był los żebraka lub kogoś wyklętego. Tak właśnie Indusi tłumaczą wszystkie te sytuacje, gdy z cisnącymi się do oczu łzami obserwujesz osieroczone dziecko lub przeraźliwie zagłodzonego żebraka, osoby bez nóg czy rąk proszące o pięć rupii i pytasz: dlaczego? Okrutne to dosyć, ale takie są ich przekonania. Indusi są naprawdę wierzącym narodem, nie spotkałam nikogo, kto jawnie wprost bez ogródek powiedział mi, że nie wierzy. Wierzyli praktycznie wszyscy, byli z tego dumni, okazali to przy każdej możliwej okazji. Zaskakujące to szczególnie dla Europejki, w kulturze której przyznanie się do wiary uznawane jest za heroiczny wyczyn i na dodatek często wyznanie takie przysparza nam kłopotu lub wrogów – niektórych intelektualistów, którzy często przejaw potrzeby duchowej uważają za okaz głupoty, ciemnoty i zapewne niskiego wykształcenia. Tak się u nas przyjęło. Jeśli wierzysz to zapewne jest z Tobą coś nie tak. Tam każdy był z tego dumny i chyba wiara była najważniejszą rzeczą w ich życiu, ważniejszą niż wszystkie doczesne dobra, chyba nawet ważniejszą niż rodzina. Spotkałam wiele niebywałych postaci. Ludzi, którzy dobrowolnie żyli życiem abnegata, wyzbywając się wszystkiego, co łączy się z tym doczesnym życiem. Niektórzy z nich szli w góry, przepadali, żyli w jaskiniach, inni zamieszkiwali stacje kolejowe, jeszcze inni włączyli się po mieście poszukując śladów Boga.



Fot. Olga Kwiatkowska

Byłam chrześcijanką pośród hindusów, muzułmanów, buddystów. Szanowano mnie, niektórzy pokochali mnie jak własną córkę, przyjaciółkę, bratnią duszę. Kochali mnie ponad podziałami. Takie chwile dawały mi ogromne poczucie sensu, czułam się integralną częścią tego wszechświata, akceptowana taką, jaka jestem... Uczyłam się nowego spojrzenia na życie, starałam się akceptować nowe sposoby myślenia i widzenia. Zrozumiałam, że nasz europejski sposób myślenia wcale nie musi być najlepszym z możliwych. Każdy ma swój i każdy warto szanować, warto poznać, bo ucząc się czegoś nowego, zmieniamy się na lepsze, akceptujemy siebie i doceniamy to, co mamy już teraz, doceniamy to, gdzie żyjemy i czujemy wdzięczność za ukochane osoby w naszym życiu, gdy jeszcze nie jest za późno. Kochać swoje życie i kochać życie innych, pozwolić sobie na wolność i dać tę wolność innym. Być i przeżywać życie w jedności z sobą i innymi ludźmi. Ponad podziałami. Pomimo różnic w wierze. To była bardzo trudna, ale wartościowa lekcja. Każdy z nas jest inny i tak jest świetnie, bo dzięki tej różnorodności świat jest ciekawy i wart poznania. Taka to była duchowa podróż... Podróż w głąb samego siebie.

Fot. Olga Kwiatkowska





Fot. Olga Kwiatkowska

Fot. Archiwum prywatne.



W LISTOPADZIE W "PROSTO Z MOSTU..." M.IN.

- Złamał kręgosłup, miał raka kości. Kim jest i co teraz robi? Jak potoczyła się niezwykła historia księdza Mariana Augustyna z Morynia?

- Zdarzyło mi się udzielić komunii św. nawet 6-latkom - przyznaje abp Andrzej Dzięga. Fragmenty wywiadu z metropolitą szczecińsko-kamieńskim dla audycji katolickiej "Religia na fali". Będzie o nowych normach przygotowania do I Komunii Świętej w parafiach archidiecezji. Zgodnie z nimi, to rodzice w porozumieniu z proboszczem parafii zdecydują, kiedy ich dziecko przyjmie ten sakrament.